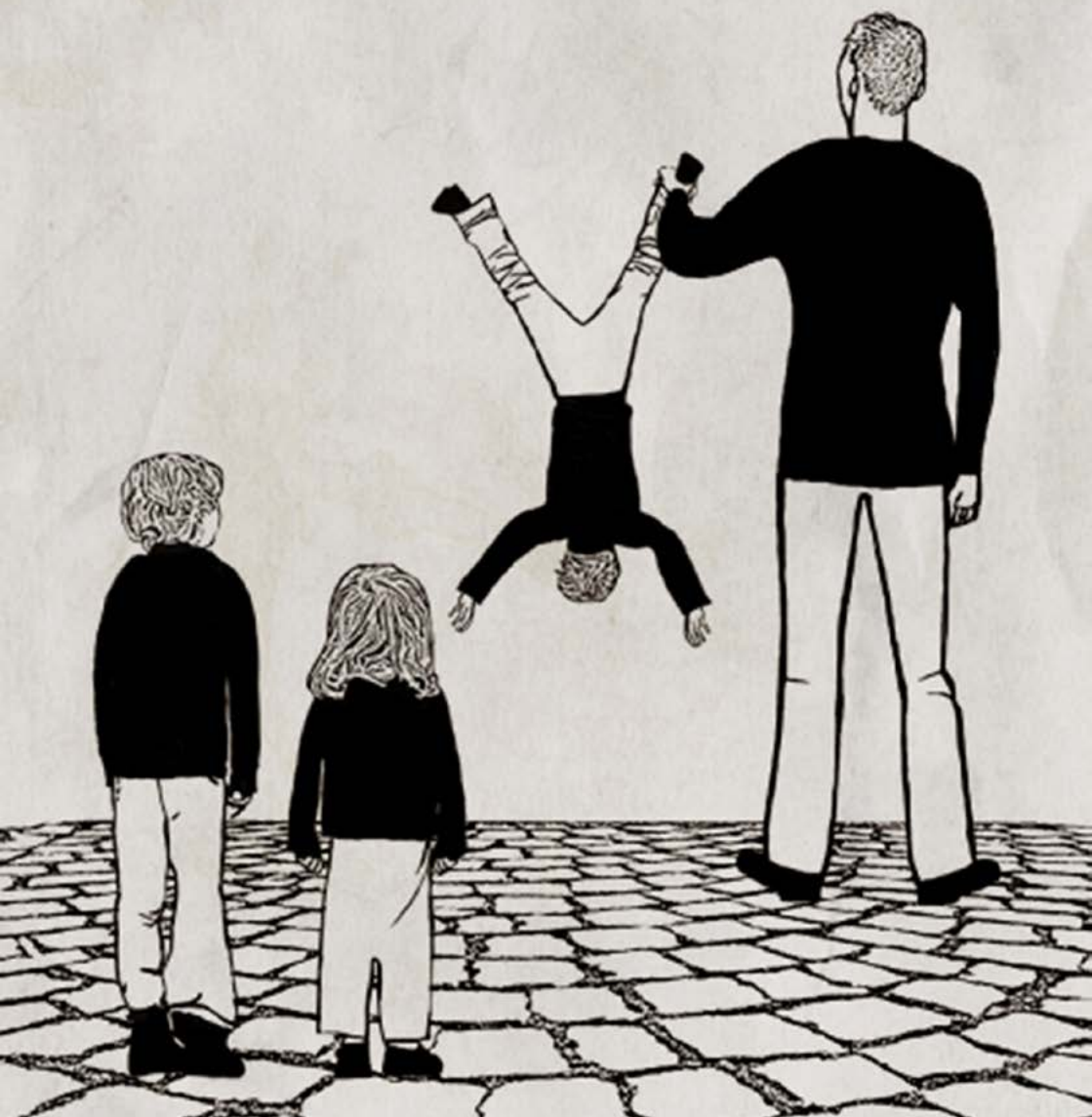


WŁADIMIR G. KOROLENKO

DZIECI Z PODZIEMIA

TEUMACZENIE ZENON CIECHANOWICZ



W. G. Korolenko

Dzieci z podziemia

Tłumaczenie Zenon Ciechanowicz

© Copyright by
Władimir Gałaktionowicz Korolenko, Zenon Ciechanowicz
& e-bookowo

Projekt okładki:
Alina Śliwińska alinasliwinska.com

ISBN 978-83-7859-619-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2016

Wprowadzenie tłumacza

Kolejny raz próbuję, zmieniam, poprawiam i na nowo przerabiam tekst, który ma poinformować przyszłego czytelnika o czym jest ta książka. Tym razem zostawię tę treść bez zmian, bo stanu, o którym marzę i tak nie osiągnę, a przecież tak łatwo streszczałem inne książki.

Mówiąc najprościej, jest to opowieść o chłopcu w wieku do dziesięciu lat i jego młodszej siostrze – którą znamy tylko z relacji brata – oraz o drugim chłopcu, nieco starszym i takiej samej młodszej siostrze. Są też ich ojcowie.

Nie zabawy jednak wypełniają głowy tych dzieci. Pierwsza dwójka oczekuje miłości ze strony ojca, a druga para marzy tylko o tym, by się w końcu najeść. O normalnym domu, w tym przypadku, nie ma nawet mowy.

Z powieści dowiadujemy się o życiu dzieci ubogich, bezdomnych i przeważnie głodnych. Widzimy, że dobrobyt materialny nie zawsze daje pełnię szczęścia, a czasami „lepiej mieć w sobie odrobinę serca, niż lodowaty kamień”. Innymi słowy – każdy człowiek, a szczególnie małe dziecko, prócz przysłowiowego chleba potrzebuje miłości, głównie ze strony rodziców.

Opowieść jest tragedią. Miejsce wydarzeń to ponura sceneria podziemia starego grobowca, na tak samo starym cmentarzu, gdzie po nocach puchacze zawodzą swoje złowieszcze pieśni. Młody chłopiec – syn znanego sędziego – ma w domu wszystko, ale nie jest szczęśliwy. Nieco starszy chłopiec, tak samo na wpół sierota, jest synem bezrobotnego i bezdomnego, ale utalentowanego osobnika, który utrzymuje siebie i swoje dzieci z oratorskich przemówień – wy-

głaszanych z przewróconej beczki do takich samych biedaków, jak on sam – a także z drobnych kradzieży. Wszystko wskazuje na to, że syn będzie zmuszony również kraść. Mały chłopiec zaczyna się tym zajmować, chcąc zdobyć bułkę dla głodnej siostry. Czterolatka spokojnym, znużonym głosem potwierdza, że płakała, bo była głodna. Syn sędziego dopiero po tych słowach małej przyjaciółki dowiaduje się, co to głód.

Mała siostrzyczka Walika, mimo troski ojca i starszego brata, nie jest w stanie wytrzymać warunków panujących w podziemiach grobowca, tym bardziej, że szary kamień podziemia „wysysa z niej życie”.

Wyssie to życie do końca. Dziewczynka umrze, ale jej śmierć przyniesie pozytywne zmiany. Nie daje to nam ulgi, a raczej wyciska łzy, szczególnie wtedy, gdy widzimy jak mała dziewczynka, tuż przed śmiercią, może się cieszyć jedyną posiadaną zabawką – małą porcelanową lalką.

Zenon Ciechanowicz

Władimir Gałaktionowicz Korolenko (ur. 15 lipca 1853 w Żytomierzu, zm. 25 grudnia 1921 w Połtawie) – rosyjski pisarz ukraińsko-polskiego pochodzenia.

Rozwaliska

Moja mama zmarła, kiedy miałem sześć lat. Ojciec, całkowicie pochłonięty swoim nieszczęściem, prawie zapomniał o moim istnieniu. Czasami tylko przytulał moją małą siostrę Sonię i jak potrafił, tak się o nią troszczył, bo była podobna do mamy.

Natomiast ja rosłem jak dzikie drzewko na polu. Nikt nie okazywał mi żadnej troski, ale też nikt nie ograniczał mojej wolności. Miasteczko, w którym mieszkaliśmy, nazywało się Książęce Miasteczko. Należało do upadłego, ale dumnego polskiego rodu i przypominało każde, dowolne miasto z pogranicza. Jeśli się zbliżało do grodu ze wschodu, to przede wszystkim rzucało się w oczy więzienie, które było największą architektoniczną ozdobą miasta.

Miasto ułożyło się w dolinie, nad sennymi, zapleśniałymi stawami, a wchodziło się do niego po opadającej szosie, zagrodzonej tradycyjnym szlabanem. Zaspany inwalida leniwie unosił szlaban i już się było w mieście, chociaż od razu się tego nie zauważało. Szare płoty, wysypiska ze stertami wszelkiego chłamu komponowały się naprzemiennie z chatkami o małych oknach, zapadniętych głęboko w ziemię. Dalej szeroki plac świecił, w wielu miejscach, ciemnymi wrotami, za którymi znajdowały się żydowskie gospody. Państwowe biura rodziły smutek swymi białymi ścianami i równą koszarową zabudową. Drewniany most, przerzucony przez wąską rzeczulkę, drżał pod toczącymi się kołami i kiwał się, jak zniedołężniały staruszek.

Za mostem rozpoczynała się żydowska ulica ze sklepami, kramami, straganami i stoiskami, w których sprzedawano kołaczki. Smród, błoto, gromady dzieci, pełzających

w ulicznym kurzu. Cicho szeptały brzozy nad mogiłami cmentarza, a wiatr tworzył fale na zagonach zbóż i dzwonił smutną, niekończącą się pieśń w drutach przydrożnych telegrafów.

Rzeczka, przez którą był przerzucony wspomniany most, wyciekała z jednego stawu i wpadała do drugiego. W ten sposób, z północy na południe, miasto było ogrodzone szeroką wodną przestrzenią i bagnami. Stawy, z roku na rok stawały się bardziej płytkie, zarastały wysoką i gęstą trzciną, która falowała jak morze na ogromnych błotach. Na środku jednego stawu znajdowała się wyspa. Na wyspie był stary, na wpół rozwalony zamek.

Pamiętam, z jakim strachem patrzyłem na tę tajemniczą, zrujnowaną budowlę. Ludzie opowiadali o nim różne baśnie i ballady, jedna straszniejsza od drugiej. Mówili, że wyspa jest nasypana sztucznie, rękoma jeńców tureckich. – Na kościach ludzkich stoi ten straszny zamek – mówili najstarsi mieszkańcy miasta, a moja dziecinną, przestraszona wyobraźnia rysowała pod ziemią tysiące tureckich szkieletów, podtrzymujących kościstymi rękoma wyspę z jej wysokimi, wrzecionowatymi topolami i starym zamkiem.

Z tego powodu, zamek wydawał się jeszcze bardziej straszny i nawet w jasne dni, kiedy czasami – zachęceni światłem i głośnym śpiewem ptaków – podchodziliśmy do niego bliżej, niejednokrotnie ściągał na nas paniczny strach. Przerażająco wyglądały otwory po dawno wybitych oknach. Z pustych komnat dochodził tajemniczy szmer, chociaż to tylko kamyki i tynki – odrywając się – spadały na dół, budząc dzwoniące echo. Wtedy uciekaliśmy, nie oglądając się za siebie, a z tyłu jeszcze długo rozlegały się stukot, tupanie i rechot. Podczas wichrowych, jesiennych nocy, kiedy olbrzymie topole kiwały się i huczały od nadlatującego znad stawów wiatru, przerażenie napływało od strony starego

zamku i panowało w całym mieście.

Po zachodniej stronie góry, pośród przegniłych krzyży i zapadniętych mogił, stała dawno opuszczona kapliczka. W niektórych miejscach zapadł się na niej dach, tynk ze ścian odpadł, a zamiast donośnego tonu miedzianego dzwonu, po nocach puchacze zawodziły swe złowieszcze pieśni.

Były czasy, kiedy stary zamek służył jako darmowe schronisko dla każdego biedaka, bez najmniejszych ograniczeń. Wszyscy, którzy nie znajdowali dla siebie miejsca w mieście – ci, którzy z jakiegoś powodu stracili możliwość płacenia za dach nad głową i kąt na noc podczas niepogody – podążali na wyspę, a tam – wśród ruin – zyskiwali schronienie, nie płacąc za gościnność, ryzykując jedynie pogrzebaniem pod zwalami starych śmieci. „Mieszka w zamku” – takie określenie było uznawane za skrajny stopień nędzy.

Stary zamek wszystkich ochoczo przyjmował i zapewniał przytułek zarówno pisarzowi, którego nieoczekiwanie spotkało niepowodzenie, sierotce staruszce, jak i bezdomnemu włóczędze. Wszyscy ci biedacy znęcali się nad wnętrzem starej budowli, zrywając sufity i podłogi, żeby napalić w piecach, coś sobie ugotować i czegoś się najeść. W ten sposób zapewniaли sobie przetrwanie.

Jednak nastały dni, kiedy wśród tego towarzystwa, przykucniętego pod dachem szarych ruin, rozpoczęły się niesnaski. Wtedy stary Janusz, który był kiedyś drobnym służącym u hrabiego, wykombinował dla siebie coś w rodzaju uprawnień kierownika i zaczął wszystko zmieniać. Kilka dni na wyspie panował taki harmider i rozlegały się takie jęki, że czasami wydawało się, iż to Turcy wydarli się spod ciemnych podziemi. Janusz sortował ludność ruin, oddzielając „dobrych chrześcijan” od osób o niewiadomym pochodzeniu. W końcu porządek powrócił na wyspę, ale okazało się, że

Janusz pozostawił na zamku w większości te osoby, które wcześniej były sługami i potomkami sług u hrabiego. Byli tu starcy w zniszczonych serdakach i czamarkach (dawne męskie ubranie wierzchnie), z ogromnymi sinymi nosami i sękatymi kijami oraz staruchy krzykliwe i szpetne, które – mimo wszystko – zachowały swoje kaptury i salopy (peleryny). Wszyscy stanowili mocno zżyty, arystokratyczny zespół, który uzyskał prawo do uznawania się za prawdziwych nędzarzy.

W powszednie dni ci staruszkowie i staruchy chodzili z modlitwą na ustach do domów bardziej majątnych mieszczan, roznosili plotki, użalali się na los, przelewali łzy i zebrali, a w niedziele ustawiali się w długich rzędach przed kościołami i uroczyście przyjmowali jałmużnę w imieniu „Pana Jezusa” i „Matki Boskiej”.

Zachęceni harmidrem i krzykiem, które podczas tej rewolucji donosiły się z wyspy, ja i kilku moich kolegów dotarliśmy tam i – chowając się za grubymi pniami topoli – obserwowaliśmy, jak Janusz – na czele całej armii starców z czerwonymi nosami i wstrętnymi staruchami – wypędzali z zamku ostatnich, zakwalifikowanych do wypędzenia mieszkańców.

Nastał wieczór. Chmura, która wisiała nad wierzchołkami topoli, już wysyłała deszcz na ziemię. Jakieś nieszczęśliwe, ciemne postacie, podobne do kretów, które chłopcy wypędzili z nor, opatulając się porwanymi do ostateczności łachmanami, przestraszone, zszokowane, snuły się po wyspie, starając się ponownie czmychnąć jakimś wejściem do zamku. Janusz i stare wiedźmy, z krzykiem i przeklinaniem, wypędzali ich bezlitośnie z każdego zakamarka, grożąc kocciubami i kijami, z boku zaś stał najsilniejszy – z ciężką buławą. Nieszczęsne bezdomne postacie – wbrew swej woli, przygarbieni, chowając się za mostem – na zawsze opusz-

czały wyspę i – jedna po drugiej – znikwały w wilgotnej mgle szybko nadciągającego mroku.

Od tamtego pamiętnego wieczoru zarówno Janusz, jak i stary zamek, od którego czuć było powiew jakiegoś smutnego czaru, stracił w moich oczach całą swą egzotykę. Poprzednio lubiłem przychodzić na wyspę i choćby z oddali cieszyć wzrok szarymi ścianami i starym dachem z grubą warstwą mchu. Kiedy o świcie wyłaziły z niego różnorodne postacie – ziewające, kaszlące, posiadające tą samą tajemniczość, w której tonął cały zamek – patrzyłem na nie z pewnym szacunkiem, jak na istoty posiadające tą samą tajemniczość, jaką osnuty był cały zamek. Spali tam w nocy, słyszeli wszystko, co się tam działo, kiedy w ogromnych salach, poprzez wytłuczone szyby zaglądał księżyc i kiedy podczas burzy wpadał poprzez nie wiatr.

Lubiłem słuchać, kiedy Janusz, usadowiwszy się pod topolami – jak lubiący opowiadać, siedemdziesięcioletni staruszek – zaczynał swą pogadankę o dawnych dziejach, związanych z umierającym zamkiem.

Ale od tamtego wieczoru zarówno zamek jak i Janusz ukazali mi się w całkiem nowej odsłonie. Zauważył mnie na drugi dzień w pobliżu wyspy, zaczął wołać do siebie, zapewniając – z zadowoloną miną – że teraz już syn „takich szanowanych rodziców” śmiało może odwiedzać zamek, bo znajdzie w nim całkiem porządne towarzystwo. Nawet doprowadził mnie za rękę bezpośrednio do zamku, ale wtedy ze łzami wyrwałem mu ją i zacząłem uciekać. Zamek stał się dla mnie wstrętnym. Okna na górnym piętrze były zabite deskami, a dół znajdował się we władaniu kapturów i salopów. Staruchy wyłaziły stamtąd i wyglądały wstrętnie, przeklinały bardzo głośno. Ale najważniejsze było to, że nie mogłem zapomnieć bezwzględności okrucieństwa nieszczęśliwych współmieszkańców, a kiedy wspominałem tamtych

ciemnych ludzi, którzy zostali bez dachu nad głową, ściszało mi się serce.

Kilka nocy po opisanym przewrocie na wyspie, w mieście było bardzo niespokojnie. Szczekały psy, skrzypiały drzwi domów, a mieszkańcy nieustannie wychodzili na podwórka, stukali pałami w płoty, informując kogoś, że czuwają. W mieście wiadano, że po ulicach – podczas niepogody, w deszczowe dni – włóczą się ludzie, którym jest chłodno i którzy są głodni, którzy drżą i mokną, więc rozumiano, że w sercach tych ludzi rodzi się wrogość i to właśnie na spotkanie tych uczuć wysyłali swoje groźby. Noc, jak na złość, schodziła na ziemię w trakcie chłodnej ulewy i odchodziła, zostawiając nad ziemią nisko sunące chmury. Wiatr szalał podczas niepogody, kiwał wierzchołkami drzew, stukał okiennicami i śpiewał dla mnie – wtulonego w pościel – o dziesiątkach ludzi, pozbawionych ciepła i dachu nad głową.

Wiosna ostatecznie zatriumfowała nad ostatnim wysiłkiem zimy, słońce wysuszyło ziemię, a bezdomni wędrowcy gdzieś odeszli. Szczekanie psów po nocach uspokoiło się, mieszkańcy przestali stukać w płoty, a życie miasta – senne i monotonne – wróciło do poprzedniego stanu. Tylko nie-szczęśni wypędzeni nie znaleźli teraz w mieście miejsca dla siebie. Co prawda, nie włóczyli się już po mieście w nocy. Opowiadano, że znaleźli sobie jakieś schronienie gdzieś na górze, obok kapliczki, ale w jaki sposób udało się im tam się urządzać – tego nie wiedział nikt. Wszyscy widzieli tylko, że z tamtej strony – z gór i wąwozów otaczających kapliczkę – schodziły rankiem najdziwniejsze istoty, które przed zmrokiem znikwały, odchodząc w tym samym kierunku. Swoim pojawieniem się zakłócali spokojne, drzemiące miasto, wyróżniali się na jego szarym tle jak mroczne plamy.

Mieszkańcy spoglądali na nich z wrogością i trwogą. Ci ludzie wcale nie wyglądali na arystokratycznych żebraków

z zamku. Oni nigdy o nic nie prosili, woleli wszystko brać sami. Ponadto, często pośród tego tłumu nieszczęśliwych oberwańców spotykało się osoby, których rozum i talent znajdowały się na wysokim poziomie i z powodzeniem mogłyby zamieszkać w zamku, ale wołały demokratyczne towarzystwo kapliczki.

Prócz nich, obok kapliczki znalazły sobie przytułek całe watahy nędzarzy. Ich pojawianie się na targu wywoływało prawdziwą panikę wśród handlarek, które śpieszyły się przykryć sprzedawane dobra rękoma, podobnie jak kwoka przykrywa swoje kurczaki, kiedy na niebie pojawi się jastrząb. Opowiadano, że ci biedacy, ostatecznie pozbawieni wszelkich środków do życia, od chwili wypędzenia z zamku stanowili zgrany zespół i zajmowali się między innymi drobnymi kradzieżami w mieście i w okolicach.

Organizatorem i kierownikiem tego towarzystwa był Tyburcki Drab – najbardziej znany spośród wszystkich wypędzonych z zamku. Pochodzenie Draba było przykryte mrokiem tajemnicy. Niektórzy przypisywali mu arystokratyczne pochodzenie, ale podobno kiedyś okrył się hańbą i z tego powodu został zmuszony do ukrywania się. Nie był on zbyt wysoki, posiadał wyraziste cechy twarzy. Krótko ostrzyżone rudawe włosy sterczały we wszystkich kierunkach. Niskie czoło, lekko wypchnięta do przodu dolna szczęka i zdecydowane rysy – przypominały jakieś małpie cechy, ale oczy spoglądające spod nasuniętych nisko brwi, patrzyły zdecydowanie i mrocznie. Promieniowała z nich – razem z chytrą – ostrą przenikliwość, energia i rozum. W czasie, kiedy jego mimika zmieniała się, oczy zachowywały ten sam wyraz; z tego powodu z pewną trwogą patrzyłem na twarz tego dziwnego człowieka. Wydawało się, że zawładnął nim jakiś głęboki, stały smutek.

Ręce Tyburckiego były grube i pokryte odciskami, a wielki

nogi stąpały zdecydowanie. Z tego powodu większość mieszkańców nie uznawała jego arystokratycznego pochodzenia. Ale jak w takim razie wyjaśnić jego wielką wiedzę, zauważalną dla wszystkich? Nie było w całym mieście takiej gospody, w której Tyburcki nie przemawiałby do zebranych z przewróconej beczki, cytując Cyncerona i całe rozdziały z Ksenofonta. Zebrani z zainteresowaniem słuchali go, chociaż nic z tego nie rozumieli... Czasami, uderzając się w piersi i błyskając oczami, zwracał się do nich ze słowami „Patres conscripti!” (ojcowie senatorowie), a oni się chmurzyli i powtarzali jeden drugiemu:

– Zobacz, jak ten wrogi syn potrafi przeklinać!

Kiedy Tyburcki, unosił oczy w kierunku sufitu i zaczynał deklamować długie łacińskie teksty, wściasi słuchacze obserwowali go z obawą i żalonym podziwem. Wydawało się im, że dusza Tyburckiego przebywa gdzieś w nieznannej krainie, w której nie rozmawia się po chrześcijańsku i przeżywa się tam jakieś przykre przygody. Jego głos brzmiał głucho – jak zza grobu – tak, że siedzący po kątach, nawet najbardziej osłabieni od gorzałki opuszczali głowy, zwieszali długie czupryny i zaczęli pochlipywać.

– Och, matenka, jakież to smutne, niech go diabli! – Powtarzali szlochając, a łzy ściekały im po długich wąsach.

Wtedy mówca nieoczekiwanie zeskakiwał z beczki, zaczął wesoło się śmiać, mroczne twarze widzów raptem się przejaśniały, a ręce sięgały do kieszeni szerokich spodni po miedziaki. Ucieszeni szczęśliwym zakończeniem tragicznych przygód pana Tyburckiego, chochoły (Ukraińcy) poili go wódką, obejmowali się z nim, a do jego kaptura wpadały – dzwoniąc – miedziaki.

Ze względu na tak zaskakującą uczoność, pojawiła się nowa legenda głosząca, że Tyburcki był kiedyś pańszczyź-

nianym chłopcem u jakiegoś hrabiego, który wysłał go razem ze swym synem do szkoły ojców Jezuitów tylko po to, by tam czyścił buty młodego panicza. Okazało się jednak, że w tym czasie, kiedy młody hrabia nic nie robił, sługa posiadał wszystkie mądrości, które były przeznaczone dla panicza.

Nikt też nie wiedział, skąd u pana Tyburckiego pojawiły się dzieci, a faktem było, że miał chłopca w wieku około siedmiu lat, dobrze rozwiniętego i wysokiego oraz małeńką trzyletnią dziewczynkę. Chłopca pan Tryburcki przywiózł od razu, jak tylko się pojawił. Jeśli chodzi o dziewczynkę, zaczęła się pojawiać na jego rękach dopiero po kilku miesiącach.

Chłopiec nazywał się Walik. Był wysoki, chudy, miał czarne włosy i smutnie szwendał się po mieście, bez żadnego zajęcia, z rękoma włożonymi w kieszenie, rzucając na boki spojrzenia trwożące sprzedawczynie kołaczy. Dziewczynkę widziano tylko raz (albo dwa) na rękach pana Tyburckiego, potem gdzieś zniknęła i nikt nie wiedział, gdzie się podziała. Opowiadano o jakichś podziemiach – na górze, obok kapliczki, a ponieważ w tamtych okolicach tego typu podziemia nie były rzadkością – wszyscy wierzyli w te opowieści. Tym bardziej, że przecież ci ludzie gdzieś jednak mieszkali.

Co wieczór znikali, udając się w tamtym kierunku. To tam kuśtykał, sennym krokiem, na wpół ogłupiały staruszek, którego przezywali „profesorem” i tam też kroczył zdecydowanie i szybko pan Tyburcki. Szli pod wieczór, ginąc w mroku, ale nie było odważnego człowieka, który by się zdecydował iść za nimi po gliniastych urwiskach. Góra, zryta mogiłami, cieśniała się złą sławą. Na starym cmentarzu, podczas wilgotnych jesiennych nocy, zapalały się sine ogniki, a w kapliczce puchacze krzyczały na tyle głośno i przenikliwie, że od wrzasków przekłętego ptaka nawet nieulekniomemu kowalowi ścisnęło się serce.

Spis treści

Wprowadzenie tłumacza	4
Rozwaliska	6
Ja i mój ojciec	15
Zdobywam nowych znajomych	21
Znajomość jest kontynuowana	30
Pośród „szarych kamieni”	36
Na scenie pojawia się Tyburecki	42